

Stanisław Lipiński

Sygnatura notacji: **N0172**

Data urodzenia: **12.05.1951 r.**

Data nagrania: **25.08.2022 r.**

Miejsce nagrania: **OBEN, Łódź, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Plaskota**

Czas nagrania: **57 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stanisław Lipiński: Urodziłem się 12 maja 1951 roku w takiej miejscowości, która się nazywa Grzmiąca, nad Odrą, bo to są Ziemie Zachodnie. Cóż mogę powiedzieć. Teraz może... Mój ojciec... W ogóle pochodzimy z ziem.. z Zamajszczyzny. Tam są nasze korzenie i stamtąd przyjechalśmy na Ziemie Zachodnie. A konkretnie to jest miejscowość pod Biłgorajem, nazywa się Dyle. I tam się urodził mój ojciec oczywiście, w 1905 roku. Właściwie to nie znam swego ojca, bo kiedy miałem 4 lata, to on po prostu odszedł, zmarł. Ale mam pewne dokumenty, na podstawie których mogę historię opowiedzieć. I chyba się tych tylko dokumentów będę trzymał, tym bardziej że osobiście nie pamiętam pewnych rzeczy zupełnie, ale znalazłem w zbiorach rodzinnych pewne rzeczy, m.in. znalazłem świadectwo ukończenia Szkoły Podoficerskiej 45. Pułku Strzelców Kresowych 5 listopada 1927 roku. A to jest to świadectwo. Zachowały się z tamtego okresu zdjęcia. Ten po lewej, tak? To jest mój ojciec. A tu w środku. To jest 45. Pułk Strzelców Kresowych. Nie wiem, co się dalej stało, nie wiem, czy służył w tym pułku dalej, wiem, że z tym Pułkiem Strzelców Kresowych związana była moja rodzina, bo wiem, że w bitwie pod Koronowicami zginął kuzyn mojego dziadka, Władysław Lipiński, w 1920 roku. Nie wiem, czy dziadek służył tam, nie mam pojęcia, ale prawdopodobnie tak. Ale nie jestem tego pewien. Co się dalej stało, to też nie wiem, ponieważ kiedy wybuchła wojna, nie wiem, czy był zmobilizowany, ale prawdopodobnie miał wypadek, o ile wiem, i jako chyba nie brał udziału w kampanii wrześniowej. Ale w 1940 roku został jakby zabrany, wywieziony do Niemiec. Tak się składa, że ojciec na pewno nie znał tych dokumentów, ale ja znalazłem to w Arolsen. To jest taki zbiór dokumentów elektronicznych, gdzie można się w internecie zorientować, o co chodzi, rzeczywiście znalazłem mnóstwo dokumentów, które świadczyły o tym, że w 1940 roku znalazł się w miejscowości Rodenbach, to jest taki powiat Frankenberg. I to jest lista osób, które tam pracowały w Niemczech, jest m.in. nazwisko mojego ojca, jest zapisane, że od 1940 do 1943, a potem 1945 roku, nie wiem,

co się tam dalej stało. Mam drugą listę, badań lekarskich, które też prowadzone były w Rodenbach. I też jest lista wielu osób, m.in. również jest w Rodenbach. Tak się składa, że z opowieści rodzinnych pamiętam, że relacje między tym gospodarzem, u których był ojciec, a ojcem nie były wcale złe. Widocznie trafił na dobrego człowieka. Tak się składa, że..., bo pamiętam, było takie oświadczenie, że ojciec zajmował się konstruowaniem radia. Konstruował to radio, nie wiem, na jakiejś gałce z czymś tam, bursztynu, nie wiem, nie mam pojęcia, w tych sprawach technicznych się nie orientuję. Wiadomości, które były uzyskane z tego radia, rozpowszechniał w Rodenbach. Nie sądzę, żeby ten Niemiec doniósł, ale prawdopodobnie ktoś z tych osób, które tam funkcjonowały. I tak się stało, że w 1945 roku został aresztowany przez Stapo Kassel. Uwięziony tam najpierw, a potem 28 lutego 1945 roku został przetransportowany do obozu koncentracyjnego Buchenwald. Znalazłem właśnie taką Häftlings-Personal-Karte też w Arolsen, tu jest nazwisko, dane, gdzie się urodził, gdzie mieszkał, że jest żonaty, że jego żoną jest Helena, że ma dwoje dzieci, no i że jest więźniem politycznym, czyli to jest tak zwany Polit Pole. I to jest ta karta z obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Tam znalazłem mnóstwo różnych jeszcze dokumentów, które świadczą o tym. To jest numer więźnia i różne inne rzeczy, Niemcy byli skrupulatni pod tym względem, jestem zaskoczony tym faktem. Tak się składa, że pod koniec 1945 roku, kiedy zaczęły się bombardowania obozu koncentracyjnego, on i jeszcze 2 jego współwięźniów postanowili dokonać ucieczki i uciekli, tylko że podczas tej ucieczki został ranny, strażnik postrzelił go. Tak się stało, że trafił go w nogi, ale kości zostały nieuszkodzone, tylko poszło po tych łydkach chyba prawdopodobnie. I błąkali się po tych weimarskich lasach i wreszcie wrócił do tego gospodarza, u którego pracował. I ten do momentu wyzwolenia trzymał go tam w stodole. Oczywiście rodzina o tym nie wiedziała, ani jego żona, ani jego synowie, ani nikt zupełnie. Tak że dopiero się ujawnił już po wyzwoleniu. Nie wiem, może interes w tym miał ten Niemiec też, żeby przetrzymać więźnia. Trudno mi powiedzieć na ten temat. Tak że wrócił do tej miejscowości, pod Biłgoraj. Nie pamiętam, w którym roku razem z całą rodziną przeniósł się do tej miejscowości. Nie wiem, czy się obawiał czegoś prawdopodobnie, bo tam współpracował z organizacją, to nie była Armia Krajowa, to chyba były Bataliony Chłopskie tam w okresie tym. Nie wiem, czegoś się musiał obawiać prawdopodobnie. I przeniósł się na zachód, do tej Grzmiącej, zostawił to miejsce. Natomiast matka moja też się urodziła tam w 1908 roku, i to jest zupełnie inna historia, zupełnie inna historia, dlatego że w 1915 roku jako 7-letnia dziewczynka razem ze swoją matką i z ojcem po prostu znalazła się w Kirgizji w 1915 roku. Ta historia nie jest znana zupełnie, jest zupełnie pominięta jakby. W ogóle nie wiadomo nic na temat bieżenców. To nie jest zesłanie, to jest bieżęństwo tak zwane, gdzie ludzie uciekają przed frontem, zachęceni przez drugą stronę, i w ten sposób oni się znaleźli w Kirgizji. To jest 1915 rok, zanim tam dotarli z tym dobytkiem, to upłynęło trochę czasu i nikt tam nie przypuszczał, że car Mikołaj może już nie istnieć. Wybuchła rewolucja, 1918 rok. I oni w czasie tej rewolucji, w 1918 roku, próbowali się dostać z powrotem do tej miejscowości, pod Biłgoraj oczywiście. Nie wiem, w którym roku wrócili, ale wrócili. Dziadek nie przepuszczono, natomiast matka, ile ona miała już lat? Tam była 7, 10-letnia dziewczynka. Przepraszam, 15-letnia dziewczynka, już wracała stamtąd. I z babcią, moją babcią w Baranowiczach po torach oczywiście sobie szła z kipiakiem, czyli z tym samowarem. Przeszli dziadek, a dziadek przyjechał pociągiem i jakoś tam się spotkali. Gdy wrócili tam na miejsce, to już nikogo, wszystko było spalone. Nie było miejsca, więc musieli wykopać sobie taką ziemiankę i w tej ziemiance funkcjonowali. Dziadek nie mógł, nie był w stanie wytrzymać tej całej sytuacji i wyemigrował do Kanady, zarobił trochę pieniędzy w tej Kanadzie, wrócił i jakoś tam coś zbudowali, coś kupili i tam jakoś funkcjonowali do momentu, kiedy właśnie ojciec nie wrócił i zabrał matkę z moimi braćmi na zachód, że tak powiem. Dziadek zmarł tam na miejscu, tak że nie doczekał, to znaczy w czasie wojny zmarł. I to byłaby ta sytuacja związana z moim ojcem. Bracia, jakimś cudem im się udało, że nie

zostali zabrani przez Niemców. I matka też, ponieważ gdzieś się ukrywała przez jakiś okres czasu, kiedy była ta akcja wysiedlenia. Kiedy wrócili tam, to jeden brat próbował jakąś tam szkołę skończyć. Drugi brat z kolei pracował w Wałbrzychu i tam poznał kolegów. I postanowili właśnie w latach 50., że dokonają ucieczki, że przepłyną Odrę, bo tam mieszkali, ta miejscowość Grzmiąca jest nad Odrą. Mój wujek, mój brat i tych 2 kolegów z Wałbrzycha stanęli nad brzegiem Odry. Wujek się przestraszył, nie przepłynął, natomiast brat przepłynął z tymi kolegami, ale to było śmieszne bardzo. Oni chyba się nie orientowali, że w końcu złapali ich gdzieś tam na polu w Cottbus i uwięzili ich, siedział w więzieniu w Cottbus, a potem go przetransportowali, on chyba miał, nie był pełnoletni, miał chyba 16 czy 17 lat, do Zakładu Karnego w Międzyrzeczu. I tam siedział w tym zakładzie w Międzyrzeczu. A później z kolei, kiedy wyszedł z tego więzienia, dostał wilczy bilet tak zwany i nie mógł znaleźć nigdzie pracy, ale on sobie doskonale radził, bo to tak bywa, że ci, którzy mają dużo problemów, to mają duże zasoby odpornościowe prawdopodobnie. Radził sobie, był sprytny. Tak że to też budziło pewną zawiść ze strony środowiska oczywiście, że tak to wyglądało. Nie żyją już ani jeden, ani drugi brat. Tego drugiego wyrzucili z tej szkoły. Ojciec o niczym nie wiedział, matka o niczym nie wiedziała, wujek nie zdradził tajemnicy. Nie wiem, jak to się stało, może bał się przyznać, że nie potrafił pływać. I to był ten okres, ten okres w tym. Ja tam ukończyłem szkołę podstawową, potem dostałem się do szkoły średniej, zdałem egzamin, bo to były egzaminy, skończyłem, w ogóle mam tytuł technika łąkarza. Później, po maturze, to były lata 1969 i 1970, znalazłem się w takim Kolegium Kształcenia Nauczycieli w Brwinowie na ulicy Pszczelińskiej. I to był ten okres, kiedy właśnie strzelano do górników. A my podlegaliśmy jakimś dziwnym procesom, zabiegom, bo nas gdzieś tam wzywali, prosili, uaktywniali, nie wiem itd. W każdym razie po tym koledzu studiowałem w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej na ulicy Górczewskiej w Warszawie imienia Marii Grzegorzewskiej. To był taki instytut, szkoła, która była założona w 1920 roku. Właśnie tam tę szkołę, Państwowy Instytut ukończyłem, ale w międzyczasie zatrudniłem się w zakładzie poprawczym, ponieważ to była specjalizacja resocjalizacja społecznie niedostosowanych, byłem pedagogiem specjalnym. Później ukończyłem Wyższą Szkołę Pedagogiki Specjalnej też w Warszawie, która już była, tam uzyskałem stopień magistra pedagogiki specjalnej i pracowałem w tym zakładzie poprawczym od 1973 roku do 1975 roku. Tak wyglądała sytuacja. Co w tym zakładzie można było robić? To był Zakład Poprawczy w Oryszewie, to taka osada gdzieś na uboczu. Jeszcze młodzież w zakładzie poprawczym, wiadomo. Ta młodzież miała jakieś, zupełnie inna młodzież kiedyś była w tych zakładach poprawczych. Teraz jest coś innego zupełnie. No i tam... Po prostu przyczepiłem sobie znaczek „V Zjazd PZPR-u” do nogawki. Miałem na nogawce i chodziłem. Mój kolega Surmaczyński Tadziu mówi: „Panie Stasiu, niech pan tego nie robi, bo to niedobrze”, itd. Ale ja sobie kpiłem z tego wszystkiego, żartowałem. Te żarty mnie drogo kosztowały, bo w 1975 roku zwolniono mnie z pracy z dobrą opinią, że wspaniale, bo współpracowałem z Centralnym Biurem Wystaw Artystycznych Zachęta. Tam robiłem wystawy. Nawiasem mówiąc, ja pamiętam, że kiedyś zabrałem swoją młodzież, wbrew wszelkim przepisom, na taki wernisaż do Zachęty w Warszawie. Tam stały stoły, na stole było wino. Chłopcy z zakładu poprawczego pytają, czy to można pić. Proszę bardzo. Rozeszła się plotka, że na wernisażach można pić wino. W ten sposób zainteresowałem młodzież niedostosowaną społecznie sztuką. Było bardzo dużo chętnych, potem korzystałem z tych wystaw itd. Ciekawa praca, naprawdę ciekawa, interesująca praca. Ale ten znaczek na tej nogawce przesądził o wszystkim i w końcu mnie wylali stamtąd na zbity pysk, że tak powiem. To był 1975 rok. Znalazłem się w Łodzi i w tej Łodzi miałem problem z przyjęciem do pracy. Nie wiem, jakim cudem, jakoś tam się dostałem do tej pracy, ponieważ miałem kolegę ze studiów w tym. Jakiś chyba sensowny dyrektor był. W końcu mnie przyjęli 2 miesiące później, ale zaliczyli mi od września w tej pracy, tam się zaczęło. Tam spotkałem pana Antoniego Włodarczyka, który był wspania-

łym człowiekiem, wspaniałym patriotą, niesamowicie, historyk, znawca wielu sytuacji. On w jakiś sposób wpłynął na moją osobowość, na moje działania, na moje postawy w stosunku do rzeczywistości. To on był tym głównym motorem. Razem funkcjonowaliśmy do lat 80. Razem zakładaliśmy tam już w 1950 roku, nie w 1951, ale w 1950 roku już struktury zakładaliśmy tam. To był problem straszny, bo to też był zakład dla niedostosowanych, tam pewno było różnych takich dziwnych ludzi, którzy prawdopodobnie funkcjonowali, pojeździli na wycieczki zagraniczne. To są ludzie, którzy tam musieli współpracować. Tak to wygląda. Pojechaliśmy do Gdańska z Włodarczykiem. Założyliśmy Komisję Zakładową. Założyliśmy. W 1981 już funkcjonowała Komisja Zakładowa „Solidarności”. W 2. Państwowym Młodzieżowym Ośrodku tam już funkcjonowała. Wybrali mnie tam pierwszym przewodniczącym tej komisji. Ale jednocześnie ze studiów, kiedy wyjeżdżałem do Gdańska, tam do Krajowej Komisji „Solidarności” na Osiek w Gdańsku, tam z Antonim Włodarczykiem i wieloma osobami, którzy z Łodzi. I tam spotkałem osobę, panią Justynę Rogińską, która studiowała ze mną w Państwowym Instytucie Pedagogi Specjalnej, a ona tam bardzo mocno funkcjonowała i ona wiedziała o tym, że ja się zajmuję problematyką resocjalizacji. I natychmiast oczywiście uaktywniła mnie, że ja w tym zakresie zacząłem działać w tej Krajowej Komisji właśnie na ten temat. To było bardzo istotne. Tak się składa, że w roku 1981 odbyła się Ogólnopolska Konferencja Pracowników Resocjalizacyjnych, to znaczy 16 marca 1981 roku. No i to nie była „Solidarność”. Ja byłem przedstawicielem „Solidarności”. Natomiast ta komisja to był taki odruch zupełnie inny, pracowniczy i tam ta konferencja ustaliła 46 takich postulatów, ale ponieważ nikt nie chciał z nimi rozmawiać, oni się zwrócili do nas z prośbą, żebyśmy zaczęli działać w ich imieniu. Tak się stało. W związku z tym 21 kwietnia przewodniczący „Solidarności” Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania, bo tak się to nazywało, na Osiek, Jerzy Roman, zwrócił się do Krajowej Komisji Porozumiewawczej w Gdańsku na Grunwaldzkiej 103, bo to tam, gdzie Wałęsa był, bo musieliśmy mieć pełnomocnictwa, bo nikt z nami też nie chciałby rozmawiać, nawet jeśli to byłaby Krajowa Komisja Nauczycielska. I w związku z tym on się zwrócił. Są te nazwiska, moje, Stanisław Lipiński, Tadeusz Sarna, Marzena Grudzień-Mrozowska, Bogdan Jankowski, Krystyna Pruska, Janusz Litwin, Edward Lubelski, Tadeusz Chrostowski, Eugeniusz Łopatka. Część była z tej konferencji. Uzyskaliśmy te pełnomocnictwa do rozmów z rządem. To były takie działania. Oprócz tego, że ja funkcjonowałem w tej Krajowej Komisji „Solidarności”, funkcjonowałem również w swoim zakładzie, Komisja Zakładowa i te wszystkie związane działania ze statutem. Jeszcze nie było statutu wcześniej, bo pamiętam, że ze Słowikiem czekałem na zatwierdzenie statutu na ulicy, ale właśnie na tej ulicy, na Sienkiewicza. Czekaliśmy, dalej była właśnie siedziba „Solidarności”, naprzeciwko policji zresztą. Uzyskaliśmy te pełnomocnictwa. Zaczęły się rozmowy, rozmowy. Tu jest ten dokument, to proszę. Rozmowy były na różne tematy, na bardzo różne tematy. Prowadziliśmy je właściwie od kwietnia do czerwca. To były takie regularne spotkania z Departamentem Kształcenia Specjalnego Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji. W tym czasie dyrektorem tego departamentu był Leszek Gomułka, on już nie żyje w tej chwili, a zastępcą tego dyrektora była Wacława Jelska. Był tam taki specjalista, wizytator, który nazywał się Jan Krakiewicz, to jest bardzo ciekawa postać, bo jakby nie on, to nic byśmy nie załatwili. To bardzo dziwne, on był po drugiej stronie. Ale nam tak sprzyjał niesamowicie, że to była niesamowita historia. I proszę sobie wyobrazić, że to się skończyło porozumieniem. Ukazał się komunikat tych rozmów, co załatwiliśmy. 17 czerwca 1981 roku, który był podpisany z jednej strony przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania, przez panią zastępcę dyrektora departamentu, panią Wacławę Jelską, przez Krakiewicza oczywiście i przez pana Sypniewskiego, a po mojej stronie, znaczy ja jako przewodniczący tego spotkania podpisałem i Bogdan Jankowski, Adamowski i Antoni Włodarczyk, ten, który był ze mną, też podpisał to porozumienie. Ekspertami w tych spotkaniach był m.in. prof. dr hab. Stanisław Jedlewski, dzisiejszy profesor, a wówczas doktor Lesław Pytka i doktor

Andrzej Bałandynowicz. Oni byli ekspertami w naszej sprawie. Byli naszymi ekspertami „Solidarności”. To były spotkania długie, czasami do pierwszej, czasami do drugiej w nocy siedzieliśmy, ustalaliśmy, kłóciliśmy się o punkty itd., bo ustalaliśmy statut młodzieżowych ośrodków wychowawczych i wszystkie sprawy socjalne, które związane były z pracownikami tych placówek. Jakoś udało się nam zrobić. To jest ten komunikat. W całości. I tutaj chciałbym jeszcze powiedzieć na ten temat o tym właśnie Krakiewiczu, bo on zasługuje. To było bardzo dziwne, bo Rajkiewicz był chyba ministrem finansów, Zawadzki był ministrem sprawiedliwości, Faron był w tym czasie ministrem oświaty i wychowania, Ministerstwa Oświaty i Wychowania, premierem był wiadomo kto, bo to był Jaruzelski w tym czasie. Tak się składa, że niby z tej samej opcji, ale w istocie konkurencyjna „Solidarność” tych zakładów poprawczych wywalczyła sobie, że do pensji uzyskają duży dodatek, 50-procentowy, nawet 60-procentowy. A my, ponieważ to był też zakład resocjalizacyjny, ale, że tak powiem, niższej rangi, nazwijmy, pod względem trudności, jakie tam sprawiali ci nieletni, nie uzyskaliśmy nic. I w tym momencie Krakiewicz mówi: „Coś musimy zrobić”. Ten Krakiewicz mówi, że potrzebny jest protest. To ja w Warszawie wsiałam w pociąg, jechałem do Gdańska. W Gdańsku Komisja Oświaty formułowała protest. Ja ten protest przywoziłem i kładłem na burku Krakiewicza, a Krakiewicz uruchamiał całą procedurę urzędniczą tam. I w końcu, czego efektem było, że informował o nas o wszystkich dokumentach, m.in. mam, to jest dokument, proszę bardzo, dokument, który skierował do ministra sprawiedliwości Faron. Bo my należeliśmy pod oświatę, a zakłady poprawcze pod ministra sprawiedliwości. Oni mieli te dodatki, my nie, w związku z tym, nawiązując do pisma, które było jakby z naszej przyczyny, uprzejmie zawiadamiam, że zasadniczo nie zgłaszam uwag do projektu uchwały Rady Ministrów, ale proponuję i tutaj zaproponowałem te dodatki 50-procentowe dla tych pracowników tych zakładów młodzieżowych, ośrodków wychowawczych państwowych. Bardzo ciekawa sprawa, bo uzyskać 50% dodatku do pensji to jest dużo. To było dobre i niedobre jednocześnie, bo się okazuje, że zainteresowali się tym wszyscy pracownicy kuratoriów, różni tam specjaliści od dorabiania sobie, twierdzili, że jakże to takie pensje, tam natłok nastąpił taki duży, że tam zaczęli się zatrudniać tak zwani spadochroniarze. Zastanawiałem się, dlaczego Krakiewicz tak nam pomaga. Sprawa się wyjaśniła, okazuje się, że był żołnierzem Szarych Szeregów w powstaniu warszawskim. Był całą duszą i całym sercem razem z nami, mimo że był po drugiej stronie. Takie przypadki też bywały i on zasługuje na utrwalenie, tak mi się wydaje. Nie pamięta chyba już nikt o tym Krakiewicz, bo nikt nie zna tej sytuacji. Oczywiście ja dostałem upoważnienie, Krajowa Rada Sekcji Oświaty i Wychowania upoważniła mnie do udzielania informacji na temat działań Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania w zakresie szkolnictwa specjalnego. Tak że to jest ten dokument. Również wróciłem do Łodzi, bo przecież w Łodzi też funkcjonowałem, to musiałem też uzyskać upoważnienie i to upoważnienie też mi wydała komisja Niezależny Samorządny Związek „Solidarność” Krajowa Sekcja Oświaty i Wychowania na Osiek, która upoważniła mnie, wyjaśnia, że jestem członkiem Krajowego Zespołu Problemowego ds. Szkolnictwa Specjalnego i upoważniony jestem do prowadzenia działalności informacyjnej, wydawniczej oraz kontaktu z władzami Województwa Łódzkiego w zakresie problematyki tego szkolnictwa, co zresztą jako przewodniczący Komisji Zakładowej wykorzystywałem przy przydzielaniu nagród, przy jakichś różnych innych historiach. Tak funkcjonowaliśmy. W międzyczasie zawiązał się taki bardzo mocny, jakby taka sytuacja powstała, że przedstawiciele ministerstwa byli zainteresowani weryfikacją nadzoru pedagogicznego ze względu na przysposobienie, bo tutaj ze względu na te dodatki, na lepsze, to się wszystko pchało do tej pracy bez kwalifikacji. Ci witorzy też nie mieli kwalifikacji żadnych. Nie mieli studiów w tym zakresie. Więc chcieliśmy razem jakoś utworzyć taką mieszaną komisję, która zweryfikowałaby nadzór pedagogiczny i jakby ustaliła pewne zagadnienia związane z przynależnością tych placówek specjalnych pod kuratorium, a nie pod... To są szczegóły, które są może nieistotne

w tej chwili. W każdym razie czekałem. Żona moja wyprasowała mi koszulę, bo ja miałem problemy z prasowaniem, i czekałem, bo proszę sobie wyobrazić, że spotkanie było wyznaczone na 14 grudnia 1981 roku. To moja koszula była na fotelu, garnitur wisiał, już byłem przyszykowany, że akurat 14 grudnia sobie pojedę na rozmowę. Okazało się, że telewizja milczy, prawda? Nie wiadomo, co się dzieje. Stan wojenny. To był dla mnie szok. Autentyczny szok. Ja pamiętam, człowiek był w ferworze tej aktywności niesamowitej, ciut działał, to było niesamowite takie poczucie wolności. Ja nie wiem, to się nie da opisać nawet, jakie to było poczucie wolności. I w pewnym momencie ten cholerny stan wojenny. Przychodzę do pracy, gęby uśmiechnięte tych osób. A ja autentycznie się popłakałem, ryczałem jak bóbr. Łzy mi leciały z oczu, nie umiałem się powstrzymać. Jak to się stało, że ten stan wojenny, taki ból wewnętrzny, nie wiedziałem, co zrobić ze sobą. To było nie do opisania. Przeżyłem strasznie stan wojenny. Samą informację o tym. Ja mówię, jak można było coś takiego, kiedy to wszystko szło w dobrym kierunku, prawda? Ten zapał, ta aktywność ludzi, to wszystko szlag trafił w jednym momencie. To był... Ja myślę, że wiele osób z tego okresu, które funkcjonowały w „Solidarności”, działało w ten sposób. Od razu zabrali nam pieczątki, zlikwidowali Komisję Zakładową, to wszystko, już nie było żadnej „Solidarności” itd. A my tak chodziliśmy, prawda, nie wiadomo. W końcu się spotkaliśmy na Franciszkańskiej w pierwszych dniach stanu wojennego, m.in. właśnie tam był Brewiński, tam był Bagiński i wiele innych osób. I to był tak zwany Komitet Porozumiewawczy „Solidarności”, który powstał. To były początki jeszcze, nie było tego komitetu, ale to było zarzewie. Tam spotykaliśmy się z działaczami. Z Litwy przyjeżdżali ludzie, pamiętam, proszę sobie wyobrazić, że m.in. nikt nie wiedział, co to za stan wojenny, nie wiadomo, czy Rosjanie nie wejdą. Pamiętam, Bagiński mówił, że zdejmujemy tabliczki z nazwami ulic, znaki itd. Takie różne rzeczy. Mój kolega, pracownik, który był w „Solidarności” z mojej Komisji Zakładowej, tam spotkał jakiegoś oficera, mówi: „Słuchaj, ja mam broń, mogę załatwić, tamto”, cuda się działy niesamowite, bo byliśmy zdezorientowani zupełnie, w którym kierunku to wszystko pójdzie. Ale faktycznie to wyglądało bardzo groźnie. I zaczęła się ta praca, pamiętam. Z żoną po raz pierwszy wyszliśmy, stan wojenny, śnieg, bo tu śnieg był, pamiętam, tam był blok, z psem na spacer, chodziliśmy po tym śniegu naprzeciwko bloku, żeby napisać na śniegu, wydeptać napis „Solidarność”, pamiętam. Niesamowite rzeczy, jak sobie przypominam, to było takie ważne, ale takie z punktu widzenia teraz nieistotne rzeczy, co to za znaczenie ma wydeptanie znaku „Solidarność” na śniegu. A tak było, rzeczywiście tak było. No i spotykaliśmy się oczywiście z wieloma osobami. Ja nawiązałem kontakt bardzo mocny z panią Basią Kubsik, bo ona po prostu do niej przychodziła prasa, ona rozdawała prasę. Ja tę prasę brałem od niej i roznosiłem po placówkach i do siebie, do zakładu też oczywiście. Tam były znaczki, prasa, a zbierałem składki i te składki znowu Basi oddawałem na pomoc dla tych nauczycieli, którzy byli zwolnieni. Tak to wyglądało. Chciałem powiedzieć, że jeszcze tam na samym początku do tej Krajowej Komisji przyjeżdżała pani Cecylia Skowrońska, później ci ludzie też funkcjonowali w stanie wojennym. Między innymi pani Cecylia Skowrońska, pan Sylwiusz Skowroński, pani Ania Gnat, pani Krysia Toruń, Zosia Toruń, Aldona Puksza, Zosia Broczkowska, Elżbieta Remisz. To są te osoby, które funkcjonowały z tego kręgu nauczycielskiego. I tam się spotykaliśmy. Spotykałem też ludzi z uniwersytetu u pani Basi Kubsik, m.in. pana doktora Wilczyńskiego. Tak że to było jakby w jednym. Ale to nie jest tak, że my funkcjonowaliśmy tylko w ramach tej komisji. Działania były wielonurtowe, że tak powiem, bo drugim nurtem była współpraca m.in. z panem Piotrem Zarębskim, który był po szkole plastycznej, miał zdolności plastyczne. I pan Piotr Zarębski oczywiście robił różnego rodzaju pieczątki w gumie, różne napisy itd., bo to było lepsze niż ulotki, bo pieczątki można było wielokrotnie używać. Jeździliśmy z Piotrem Zarębskim po tych przystankach i opieczętowaliśmy przystanki z tymi pieczawkami. To był dobry pomysł oczywiście. Kolega jakiś pomagał jeszcze, pamiętam, w robieniu tych, spotykaliśmy się na ulicy Dąbrowskiego. Potem

tak się złożyło, że kupiliśmy takiego starego Garbusa z 1956 roku. To znaczy Piotr kupił, a ja z niego korzystałem. Tak się składa, pamiętam nawet numer rejestracyjny, LDD1677. Chyba w 1954 roku Piotra już nie było tutaj, bo wylądował we Francji. A ja jechałem z żoną na skrzyżowaniu, nacisnąłem hamulec i w pewnym momencie wyskoczyłem jak katapulta na czerwonych światłach. Jakby ktoś jechał, toby nas staranował. Jakbym jechał gdzie indziej, to też prawdopodobnie byłoby źle. Jakiś kretyn podpłiował mi wężyki hamulcowe w tym LDD1677, ale tak się stało, że ja bym nie wiedział o tym, bo bym powiedział, stary samochód, 1956 rok, to jakże. To hamulce mogły wysiąść. Ale 2 wężyki podpłiował. A pękł jeden, a na drugim został ślad podpłiowania. Czyli były 2 podpłiowania. Jakby jeden podpłiował, nie wiedziałbym, o co chodzi, ale 2 podpłiował. Tak że próbowałem to sprawdzić później w IPN-ie, ale okazuje się, że w 1984 roku była inwigilacja, wiele razy mnie zapraszano, zabierano na Lutomierską na przesłuchania. Ze mną się liczone, nie wiem dlaczego, ale jakoś tak spokojnie ze mną rozmawiano. Ale np. z moimi kolegami z pracy, m.in. z Matuszczakiem, Pawliną i jeszcze tam ktoś był aresztowany, to ich straszono. Czy oni nie biorą ode mnie żadnych ulotek, czy straszono, nie wiem, straszono ich, żeby po prostu wydali. A ja wiedziałem, w zakładzie kto jest tym donosicielem i kto współpracuje. Nie miałem dowodów, ale domyślałem się, bo to się da wyczuć takich ludzi. Pamiętam, dyrektor sprowadzał ze wsi jakąś kielbasę i sprzedawał. I ktoś go wydał oczywiście. SB przyjechała, zarekwirowała całą kielbasę, kaszankę i inne, i tych wszystkich. Czyli to nie był on, jak na niego doniesiono. No i proszę sobie wyobrazić, że tak to wyglądało z tymi donosicielami. Nie wiem, w pewnym momencie komitet, nie wiem, czy esbecja, komitet, nie wiem, zaczął drukować w stanie wojennym ulotki, które były łądzko podobne do tych naszych. W pewnym momencie dostałem plik takich ulotek z komitetu partyjnego. I była taka czcionka. To wszystko było bardzo podobne. Nie wiem, dlaczego oni to robili, jakaś próba była widocznie. Więc miałem te ulotki, włożyłem sobie do teczki, a nasze ulotki były w innej przegródce. I wiedziałem, „Daj jakieś ulotki, masz, masz?”. Wiadomo, się tak domagał. A ja miałem swoich, tych, którym zawsze dawałem i od których składki brałem. A wiedziałem, że ci, co tak nalegają i chcą, to ja wyciągałem te ulotki, z tego drugiego pliku dawałem mu i konsternacja, bo nie wiedzieli, o co chodzi. Trzeba było tak robić. Zapraszano mnie tam i Włodarczyka. W ogóle było coś takiego w IPN-ie jak kryptonim Palacz, o ile wiem. Mnie tam umieszczono i Włodarczyka Antoniego. Przyjechała esbecja do Włodarczyka, pamiętam, tak mi mówił: „Porządna instytucja, to zaproszenie powinni dać”. To oni pojechali, przywieźli zaproszenie i Go do samochodu. Mnie też złapali do samochodu i paszół won. Cholera, tak to wyglądało, ale Włodarczyk był taki, że on tam nic nie powiedział, nie zdradził. To był człowiek, rzeczywiście na którym można było polegać. Ode mnie też nikt nie uzyskał żadnych informacji. Nie wiedzieli, o co chodzi. Wydawało im się, że prawdopodobnie już po tych informacjach od tych chyba, co donosili, że to już spokój jest, że już mają ze mną spokój itd. Ale ja do 1959, do końca funkcjonowałem. I prawdopodobnie na skutek właśnie, że funkcjonowałem do końca, chcieli mnie uspokoić tym podcięciem nożyków. Nie wiem, nie mam na to dowodów, bo chciałem uzyskać, kto to donosił, kto to podpłiował, czy oni w ogóle mieli coś takiego w dokumentacji, że takie akcje były podpłiowania. Chyba nie raczej, nie? Tak to wygląda. Ale spalili te wszystkie dokumenty związane z wojną. Chciałem się dowiedzieć chociaż nazwiska, kto to donosił. Nie dowiedziałem się. Tak wyglądała sytuacja, jeśli chodzi o tę działalność w stanie wojennym. Bogna Maurer pisała, to były teksty, które ona tworzyła, bo była polonistką. Marek Krakowiak, który też, bo prasa była i z Łodzi, i z Warszawy. Marek Krakowiak, który funkcjonował też w stanie wojennym ze mną, przynosił mi tę prasę. Najpierw zabierał z Warszawy, przywoził mu ktoś, a potem on przynosił do mojego domu. Albo ja odbierałem na Traugutta 8 od niego. Ale to były różne źródła. Natomiast taka działalność w stanie wojennym była związana z nawą św. Krzysztofa, tu naprzeciwko, w tym kościele jezuitów. I tu m.in. Piotr Zarębski organizował tę nawę św. Krzysztofa. Odbywa-

ły się pewne działania artystyczne tych osób, które były prześladowane w PRL-u. I m.in. Warpechowski, pamiętam, tutaj występował z różnymi. I wielu innych artystów przyjeżdżało do jezuitów. To było tajne oczywiście. Potem to zlikwidowali, nie wiem dlaczego. Przyszedł jakiś nowy proboszcz, nie mam pojęcia. Ja nie funkcjonowałem w duszpa-sterstwie nauczycieli, ja tylko wiem, że w stanie wojennym brałem młodzież i przychodziliśmy na msze wolnościowe tutaj. Byli zaskoczeni, jak myśmy te 2 palce pokazywali, wspaniałe to było. Przypominają sobie. Wspaniali ci chłopcy byli w tym zakładzie, w którym pracowałem. Żałuję, że tego nie, bo to Włodarczyk na to zwrócił uwagę, mówi: „Kolego, proszę zobaczyć, tu mamy patriotę. Został skazany i przeniesiony do naszego zakładu za to, że spalił flagę Związku Radzieckiego i rzucił na cmentarzu i psy poszarpały tę flagę”. Tak autentycznie było w wyroku sądowym dla nieletnich. Takie rzeczy się działy. Ta młodzież też była zainteresowana tym i była wprowadzana, i uczestniczyła w tych zajęciach. Filmy przynosiliśmy, bo ja od jezuitów brałem filmy różnego rodzaju, oni tu mieli cały skład filmów. Pamiętam, ojciec Jacek taki był, nie pamiętam, jak on się nazywał. Ale zawsze przychodziłem do niego tutaj, brałem filmy i tam robiłem projekcje w zakładzie. Ci nauczyciele byli przerażeni, przestraszeni, że takie filmy, że młodzież ogląda. Tak to wyglądało.

Tomasz Plaskota: A jak pan wspomina ojca Miecznikowskiego?

Stanisław Lipiński: Ciepły, wspaniały człowiek. Ciepły, wspaniały, bo pamiętam, że przynosiliśmy mu ogromne ilości lekarstwa, bo Piotr załatwiał u księdza Platera w Paryżu lekarstwa i różne inne rzeczy i przysyłał tutaj w stanie wojennym. I my to wszystko zanosiliśmy ojcu Miecznikowskiemu. Żona moja zносиła też tam. Tę pomoc również, jakieś tam masło było czy kawa, czy jakieś inne rzeczy, wszystko zanosiliśmy ojcu, żeby rozprowadzić dla tych osób, które były internowane, które nie miały pracy itd. On wspaniale działał. Trzymaliśmy się tego ojca Miecznikowskiego. Organizowane były te msze wolnościowe. To tu nie mogę o tych. Może inne osoby brały udział w jakichś tam innych formach. Ale to było wielotorowe. Wielotorowe. To nie było tak, że tylko była ta komisja porozumiewawcza, ale to było tak, z jednej strony artyści, z drugiej strony na uczelni. Potem jeszcze gdzieś tam z Gdańska przychodziły od Justyny różne pisma. To Krakowiak przywoził z Warszawy. To nie było tak, że człowiek był przyklejony do jednej organizacji. Ale działania były wielotorowe. Byłem delegatem na WZD pierwszym tutaj. Tu już widziałem, że były 2 opcje. Jedna opcja taka zupełnie inna, jakaś liberalna, i druga opcja narodowa oczywiście. I tam, proszę sobie wyobrazić, było głosowanie, bo wybieraliśmy tych. Tam był Kropiwnicki, Palka, kto tam jeszcze. Mnóstwo osób było z tych osób i ta opcja wygrała jednym głosem na tę WZD, czyli każdy z nas mógł dać ten głos. W każdym razie. Ale już z Gdańska przyjeżdżali ludzie i już zaczęli ustawiać nas, że tu wolno, tu nie wolno, tak trzeba, nie trzeba, pamiętam. Nie pamiętam tych nazwisk, nie wiem, czy to nie Lis przyjechał. Chyba Lis był na tym WZD. Nie pamiętam dokładnie. Ja się dziwię, że dlaczego nie ma jeszcze, przecież tam była telewizja, to było wszystko nagrane, te wszystkie wystąpienia na tym pierwszym WZD. Królikiewicz robił tam zdjęcia. Pamiętam, że robił ze mną wywiad Królikiewicz, jak wychodziłem z tego WZD. Nie ma, nie wiem, gdzie on te materiały, powinien mieć gdzieś te materiały. Ten Okrągły Stół i to wszystko było nie do przyjęcia dla mnie. To był znowu następny szok, następny dysonans straszny taki. To znowu było zamieszanie, nie tędy droga oczywiście, potem się okazało, że to było poza narodem, poza nami. My byliśmy tą opcją zepchniętą na plan dalszy, że tak powiem. Nie braliśmy udziału w tych sytuacjach. I te osoby między innymi, te osoby też, Skowrońscy, Kubsik, prawdopodobnie, nie wiem, Brewiński, Bagiński, to nie były osoby z tej opcji. Chociaż. I tak to wyglądało. Ja nie zaakceptowałem tego. Nie zaakceptowałem tego. I tak to wyszło. Potem, w 1991 roku, obroniłem pracę doktorską

w Warszawie. Nie wiem, jakim cudem, bo w Warszawie w instytucie też była wspiana historia. Bo już nie miałem kontaktu z tym Instytutem Pedagogicznym. I tam cały sekretariat żył „Solidarnością” w stanie wojennym. Tam m.in. dr Szecówka przyjeżdżał, jeszcze nie był doktorem, ale przyjeżdżał, przewoził materiały ze Śląska. Ja przywoziłem materiały z Łodzi, potem brałem od nich też materiały. Nie mówię o tej kadrze naukowej, to nie, ale sekretariat cały był, siedział w „Solidarności”, ci ludzie, bo oni byli wspianali i mieli z nami kontakt. W 1991 roku oczywiście uzyskałem dyplom doktora nauk humanistycznych, a później, bo środowisko uniwersyteckie też zabagnione jest strasznie. Dla mnie to jest nie do przyjęcia. Tam jest... Tak że miałem problemy z habilitacją niesamowicie. W końcu udało mi się zrobić tę habilitację poza naszym układem. Tak że w 2009 zostałem doktorem habilitowanym nauk społecznych. Potem się zaczęła lustracja, potem spadła ta lustracja, to się zdenerwowałem, powiedziałem, że jak nie ma lustracji, to niech będzie autolustracja. I zwróciłem się do IPN-u, poprosiłem właśnie, żeby wydano mi ten. I namawiałem wszystkich panów profesorów, doktorów habilitowanych, innych, żeby dokonali autolustracji. Jak nie ma lustracji, niech będzie to samo. Tak się oczyściło środowisko, jak i prawnicze tak samo się oczyściło. Tak że prezes Instytutu Pamięci Narodowej wydał zaświadczenie, że nie współpracowałem, zlustrowany zostałem. I to było też bardzo niemile widziane. Naprawdę niemile widziane na uczelniach. Tak że ten klimat na uczelniach mi nie odpowiada. Czy się polepszyło coś? Nie. Wydaje mi się, że się pogorszyło w tej chwili. Ta sytuacja na uczelniach nie jest taka, jaka powinna być. Tam są środowiska lewackie, lewactwo, tak, lewactwo przede wszystkim. I nie wiem, w Stanach Zjednoczonych też chyba taki klimat panuje. Ja już nie mówię o Europie. A w tej chwili ta punktoza się zaczęła, punktacja, że jak się idzie do uczelni, to gmach uczelni taki malutki, a ewaluacja to jest wieżowiec, bo to w ogóle pomieszanie z poplątaniem. A dla mnie nie tyle z powodów rodzinnych, ale z powodów takich, że dla mnie ten desygnat poczucia wolności, że tak powiem, to poczucie wolności, dążenie do wolności było tak silne, bo związane było z poszukiwaniem prawdy w nauce, jak również wolności w życiu społecznym itd., to było istotne i to był ten motor, który napędzał. Nigdy nie lubiłem się podporządkować żadnej władzy, w związku z tym zawsze miałem problemy. Wydaje mi się, że to też mnie pchało w tym stanie wojennym do działalności w strukturach podziemnych. Nie bałem się po prostu, nie miałem lęku. Byłem zaskoczony, tu mnie zatrzymano, tu mnie zatrzymano. Byłem zdziwiony, że nie internowano, ale nie internowano mnie, ale potem się okazuje, że tych, których internowano, to też specjalnie niektórych internowano, żeby zrobić im przeszłość. To potem się okazało, kto był internowany.